REJESTR DOTYCZY:

KOC Adam

s/c ..... i .....

z d. .....

* 31 sierp. 1891 w Suwałkach

kraj: POLSKA

† 3 lutego 1969 w New York

kraj: U.S.

pochowany: Wolvercote Cemetery, Oxford, U.K.

nr grobu: AC. N 254

Nr rejestracyjny

61 / 69

Nota zamieszczona:

w tomie I

czesci pierwsza

Indeks

VIRTUTI MILITARI

Copyright: 1970
B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.

* Korbonski "W imię Polski alczącej
* Malinowski "Najnowsza Historia Polski" ed.1. t.I, II, III ed. 1947 I- indta biograf.
* International Who is Who ed. 1947

znak rozpoznawczy

267

264/ed.1.t.I,II,III; ed 2. t.I i II/
133/ed.1947/

Uwagi:

LEGIONY. płk dypl. rez.

Nota:

Przypisy:

1317 odz.fr. L.H. 4 kl. i czecosł. orderem Lwa Białego 3 kl.

Źródła i bibliografia:	znak rozpoznawczy
* S.Łoza "Czy wiesz kto to jest" nota biograficzna	1o5
* Dziennik Polski 5.2.69 - wzmianka o smierci	
* Dziennik Polski 1o.2.69 - nekrolog /Koło I Dyw.Leg./	18/5 i 10.II.69/
* Tydzien Polski 8.2.69 - nekrolog /Inst.J.Piłsudskiego/	47/8.II.69/
RO34-rezerw.324.844,ppłk st.sp. /* 31.7.1891/ PKU W-wa III.	121/34/
* "Generał Sikorski,Żołnierz i mąż stanu" gen. M.Kukiel s.63, 91,93-5/	250/63,91,193-5/
* Czas przeszły dokonany" A.Pragier" s.569,571-2, 576,579-80, 615	277/569,571-2,576, 579-8o,615/
* "O Wielkopolsce,złocie, i dalekich podróżach" Z.Karpinskis.184-5,2oo,2o5,-2o9,215-216,22o-221	282/184-5,2oo,2o5-9, 215-16,22o-21/
* "Wspomnienia i uwagi" Henryk Gruber	281
* Zeszyty Historyczne nr 16 - T.Katelbach "Szlachetny" - wspomnienia o Adamie Kocu s.163	144/nr 16.163/
* W 5o-lecie Powstania W.S.W. w Warszawie s.317	289
Tydzien Polski 8.3.69 - wspomniebie o Adamie Kocu piora Tadeusza Święcickiego	47/8.III.69/

5.2.69 61/69

Zgon płk. Adama Koca

W Nowym Jorku zmarł 3 lutego br. po długiej i ciężkiej chorobie płk. Adam Ignacy Koc.

Urodzony w Suwałkach w 1891 r., przed r. 1914 członek Związku Walki Czynnej i Związku Strzeleckiego. Oficer I Brygady Legionów, ranny na polu walki. Komendant P.O.W. na okupację niemiecką w okresie rozbrajania Niemców. W r. 1920 dowódca Dywizji Ochotniczej. Po wojnie założyciel „Głosu Prawdy", wiceprezes Klubu B.B.W.R., wiceminister skarbu, prezes Banku Polskiego (1936), szef Obozu Zjednoczenia Narodowego (1937). Negocjator pożyczki państwowej w Londynie (1939). Członek pierwszego rządu polskiego na uchodźstwie.

Ostatnio wiceprzewodniczący Rady Naczelnej Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku.

Ś.† P.

ADAM KOC

członek Związku Walki Czynnej, oficer Związku Strzeleckiego oficer I Brygady Legionów, komendant P.O.W. okręgu O.K.P warszawskiego, d-ca dywizji ochotniczej w 1920, kawaler V.M. odznaczony Krzyżem Niepodległości z Mieczami, 4-krotnie Krzyżem Walecznych, członek Rady Naczelnej Instytutu Józefa Piłsudskiego w N. Jorku, zmarł 3 lutego 1969 w N. Jorku.

Cześć Jego pamięci!

KOŁO I DYWIZJI LEGIONÓW

Pogrzeb odbędzie się we wtorek 11 lutego w Oksfordzie o godz. 12.

5137

Ś.† P

ADAM KOC

PŁK DYPL.

suwalczanin, żołnierz Józefa Piłsudskiego, kawaler Orderu Virtuti Militari, senator R.P., zmarł 3 lutego 1969 w Nowym Jorku przeżywszy 78 lat.

Msza św. żałobna odprawiona będzie we wtorek 11 lutego w kościele św. Alojzego (Woodstock Rd., Oksford) o godz. 12, po czym wyprowadzenie zwłok na miejscowy cmentarz, Wolvercote Cemetery.

RODZINA

Transport z Londynu do Oksfordu zapewniony. Informacje: Instytut im. J.P. tel. PRO 3588 lub w niedzielę 01-602.1946.

5132

4) Rok 1967. Zeszyt 12 *Zeszytów Historycznych,* Paryż.

Relacja płk. Józefa Jaklicza, zastępcy Szefa Sztabu Naczelnego Wodza:

„17 września, po powrocie Marszałka z Kut (mowa o konferencji z Panem Prezydentem w willi min. Becka. Przypis mój W.T.D.), przyszedł do mnie (płk. Jaklicz urzędował przejściowo w Kosowie, przypis mój W.T.D.) wzburzony gen. Sławoj-Składkowski, zaprosił do jednego z pokojów i zawiadomił mnie o — *decyzji Marszałka pozostania w Polsce i dołączenia do batalionów w Stryju.* Zaklinał mnie, dosłownie, abym odwiódł Marszałka od tej decyzji...

„Zostałem wezwany do Marszałka. Dał mi następujący rozkaz: Pozostaję w Polsce. Wybierze pan sześciu uzbrojonych w karabiny oficerów, łącznie z nimi wracam do Stryja, aby dołączyć do walczących wojsk...

„Wejście gen. Składkowskiego, który zaraportował, że starosta ze Śniatynia melduje, że miasto zajmują bolszewicy. Ze Śniatynia prowadzi szosa prosto na Kosów. Odległość niespełna 40 km.

„Po wyjściu Składkowskiego — pisze dalej pułk. Jaklicz — Marszałek milczał długo. Ważył prawdopodobnie ostateczną decyzję: — „nieuchronna godzina nadeszła. Pragnąłem ją odsunąć możliwie jak najdalej, przedłużyć jej bardziej nie mogę. Nie wiadomą jest przyszłość. Obowiązek muszę wypełnić do końca. Granicę przekroczę tej nocy".

Wiktor T. DRYMMER

Tadeusz KATELBACH

„SZLACHETNY"

(Wspomnienia o Adamie Kocu)

Podczas pierwszej wojny znalazłem się w szeregach Polskiej Organizacji Wojskowej. Adam Koc był jej komendantem. Dzielił nas wtedy — zdawało się — nieprzekraczalny dystans. Jeśli stanąłem kiedyś przed obliczem komendanta P.O.W., zawdzięczam to pewnej roli jaką odgrywałem wśród warszawskiej studenterii. Dzięki temu znało mnie sporo ludzi zajmujących wysokie stanowiska w ówczesnej hierarchii legionowo-peowiackiej, że wymienię tylko Tadeusza Hołówkę, Bogusława Miedzińskiego czy Andrzeja Struga. Jako studencki działacz polityczny miałem do nich łatwy dostęp i to któryś z nich wprowadził mnie do Koca.

Kiedy doszło do tego — nie pamiętam. Na pewno poznałem Koca w jednym z konspiracyjnych lokali peowiackich na Hożej, a może na Marszałkowskiej. Widzę duże, niezamieszkałe przez nikogo mieszkanie. W pokojach stoją krzesła, stoły, biurka. Przy

jednym z nich siedzi Hołówko i ze mną rozmawia. W pewnej chwili otwierają się drzwi od jednego z pokojów i wchodzi komendant P.O.W. w towarzystwie swego adiutanta Adama Rudnickiego. Wzrostu średniego, chudy, wymizerowany, łysy, w binoklach na dużym nosie, z lekka pochylony, z papierosem w ręku. Mówi niskim głosem wolno, jakby ważył każde słowo. Zna plątające się po pokoju „szarże" i one go znają. Zwracają się do niego różnie, przeważnie per „szlachetny". Słyszę jak odpowiadając na ich pytania, zaczyna przeważnie od słów: „Słuchajcie szlachetni".

Rozmowa między szlachetnymi nie trwała długo, gdyż najszlachetniejszy skinął na mnie. Referowałem sytuację na wyższych uczelniach warszawskich w związku z projektowaną demonstracją antyniemiecką. „Szlachetny" słuchał, jak mi się zdawało, z wyrazem wielkiego skupienia. Zadał parę pytań. Był uprzedzająco grzeczny. Miałem wrażenie, że chce bym zapomniał o dystansie służbowym jaki mnie od niego dzieli. Na zakończenie podał rękę, coś przyjaźnie bąknął, ale „szlachetnym" jeszcze mnie wtedy nie nazywał.

Idąc Marszałkowską w stronę Mokotowskiej myślałem, że nasz komendant wprawdzie postawą żołnierską nie grzeszy, musi być jednak człekiem inteligentnym i chytrym. Umie się maskować i wie jak, w zależności od potrzeby, ma się wobec rozmówcy zachować. Wydawało mi się, że najlepiej byłoby mu do twarzy w habicie zakonnym ascetycznego przeora, który, mimo pozorów łagodności, umie trzymać w ryzach swych braciszków. Cieszyłem się, że takie cechy posiada człowiek na którego barkach spoczywa niezwykle ciężkie zadanie kierowania tajną organizacją wojskową w okupowanym przez wojska niemieckie kraju.

Jeszcze parę razy, zawsze przelotnie, spotykałem komendanta P.O.W. w naszych konspiracyjnych lokalach. Nie pomnę, bym miał okazję w dłuższej rozmowie skonfrontować wrażenia o Kocu wyniesione z pierwszego spotkania. Jego bliscy współpracownicy, a wśród nich mój rówieśnik Adam Rudnicki, mówili o nim w samych superlatywach. Na jego to rozkaz 50 tysięcy peowiaków wyszło z podziemia w listopadzie 1918 roku i odegrało decydującą rolę w dziele rozbrajania Niemców. Jako komendant P.O.W. pierwszy w Warszawie witał 10 listopada 1918 r. wracających z Magdeburga Józefa Piłsudskiego i Kazimierza Sosnkowskiego. Jako bohaterski oficer I Brygady i dowódca podziemnej armii peowiackiej wszedł do legendy. Otaczała go już w pierwszych miesiącach niepodległości, gdy znalazł się w Oddziale II-gim Naczelnego Dowództwa. Meldowałem się wówczas u kapitana Koca parę razy, ale zawsze rozmawialiśmy krótko.

Po zwycięskiej wojnie z bolszewikami w 1920 roku, w której płk. Adam Koc dowodził dywizją ochotniczą, już go nie spotykałem. Nawet przelotnie. Wiedziałem, że przed zamachem majowym 1926 roku redagował bojowy organ piłsudczyków *Głos Prawdy,* który po zamachu przekształcił w *Gazetę Polską,* oddając redakcję tego pisma w ręce Bogusława Miedzińskiego. Wiedziałem, że po zamachu Piłsudski wysłał Koca do Lwowa, by w charakterze szefa sztabu „pilnował" ówczesnego dowódcę D.O.K. Lwów, gen. Władysława Sikorskiego.

W styczniu 1927 roku opuściłem kraj na całych dziesięć lat. Mimo to orientowałem się dobrze co się dzieje w obozie piłsudczyków i jaką rolę odgrywają w nim ci, których zaliczano do najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego. Z niektórymi, w czasie pobytów w Warszawie, spotykałem się nawet często. Ale nigdy nie widywałem Adama Koca gdy był wiceministrem skarbu czy prezesem Banku Polskiego. Ze zdziwieniem dowiadywałem się od mych bliskich kolegów, którzy z nim współpracowali w obu instytucjach, że poczyna sobie dobrze i ze znawstwem w sprawach finansowo-gospodarczych.

Adam Koc należał do zespołu który niezbyt ściśle określano mianem „pułkowników". Po maju 1926 roku „pułkownicy" rządzili Polską. Ja, jako czynny zetowiec, znalazłem się po zamachu majowym wśród piłsudczyków, którzy powołali do życia Związek Naprawy Rzeczypospolitej. Między rządzącymi „pułkownikami" i „naprawiaczami" zaczęły zarysowywać się różnice programowe. Naprawiacze byli zwolennikami zmiany systemu rządów i wypowiadali się za porozumieniem jeśli nie ze wszystkimi stronnictwami opozycyjnymi, to przynajmniej z niektórymi. Pułkownicy nie chcieli słyszeć o żadnych zmianach, myśląc — nawet po śmierci Marszałka Piłsudskiego — o dożywotnim sprawowaniu rządów. Adam Koc uchodził wśród nich za jednego z najbardziej ortodoksyjnych, toteż nie miałem do niego żadnego nabożeństwa politycznego i nie starałem się o nawiązanie z nim kontaktu gdy po dziesięciu latach nieobecności w kraju, w początkach 1937 roku, wróciłem do Warszawy. Należałem do krytyków deklaracji programowej Obozu Zjednoczenia Narodowego — nowej formacji politycznej powołanej do życia przez Marszałka Śmigłego-Rydza. Deklarację ogłosił Koc jako szef OZONU i jemu przypisywano jej autorstwo.

Spotykałem Koca parę razy w Warszawie na ulicy, gdy się już z OZONU wycofał i przeszedł do życia gospodarczego. Po raz ostatni — na ulicy Szucha. Wymieniliśmy z sobą kilka zdawkowych uwag, jak to bywa między ludźmi którzy wprawdzie znają się od dawna, lecz nic sobie do powiedzenia nie mają. Nie spotka-

łem się z Kocem ani razu podczas ostatniej wojny w Paryżu, kiedy wszedł do rządu Sikorskiego, swego — zdawało się — nieprzejednanego przeciwnika politycznego. A że szybko, bo już w 1940 roku, wyjechał z Londynu do Stanów Zjednoczonych, więc się jego osobą przestałem interesować. Przypominałem sobie o istnieniu Koca jedynie wtedy, gdy opracowując jakiś fragment naszych dziejów emigracyjnych, natykałem się na jego osobę. Pisałem o Kocu niepochlebnie. Z legendy która otaczała mego komendanta w P.O.W. pozostało tylko mętne wspomnienie. Gdy się z kimś przypadkiem zgadało o Kocu wyrażałem wątpliwość czy bym go poznał spotkawszy na ulicy.

◆

Przypadek, który w życiu każdego z nas, wyrzuconych za burtę, odgrywał często rolę decydującą zrządził, że bardzo szybko po rozbiciu namiotów na chyba już ostatnim etapie tułaczki emigracyjnej w Nowym Jorku, odnowiłem znajomość z Adamem Kocem. Wiosną 1966 roku zamieszkałem w tym obrzydliwym z wielu względów, a jednocześnie pasjonującym mieście, w bezpośrednim sąsiedztwie z Kocem. Od dobrych kilku lat mieszkał w starej, pięciopiętrowej kamienicy na zachodniej, 64-ej ulicy pod numerem 14-tym, ja w bliźniaczo podobnym budynku, pod numerem 16-tym. On na amerykańskim, pierwszym piętrze, ja na piątym, oczywiście, bez windy. Uważałem, że po sąsiedzku należy Kocowi złożyć wizytę. Ale wahałem się. Od czasu gdy go po raz ostatni spotkałem minęło blisko lat trzydzieści. Wiedziałem, że był człowiekiem niezwykle ambitnym, więc może być dotknięty tym co o nim pisałem. Okazało się jednak, że „szlachetny" ucieszył się z mego telefonu i prosił, bym go jak najrychlej odwiedził.

Apartament — jak się po amerykańsku mówi — składał się z dwóch pokojów, łazienki i kuchenki. Drugiego, mniejszego pokoju długo nie oglądałem. Zastawiony był niemal pod sufit szafami, kartotekami, przeróżnymi utensyliami gospodarskimi, puszkami i bateriami pustych słoików. Większy pokój składał się jakby z dwóch części. W jednej stało maleńkie łóżko składane, na wprost w rogu sekretarzyk, stół, parę krzeseł, telewizja, szafa wypełniona po brzegi różnojęzyczną literaturą gastronomiczną. W drugiej części stała maszyna do pisania, metalowe regały i skrzynie z napisami co się w nich znajduje oraz półki z książkami. Przeważały polityczne, ale nie brak było także literatury filozoficznej. Niezliczona ilość teczek zawierających dokumenty, notatki, wycinki i maszynopisy Koca, na ścianach fotografie rodzinne, stara mapa Polski, kilka podobizn Józefa Piłsudskiego, dopełniały reszty

obrazu. Uderzało, że w mieszkanku przez cały czas za dnia paliły się lampy. „Szlachetny" był źle ze wzrokiem. Był już po paru operacjach. Ale jeszcze wiosną 1966 roku i przez rok następny, gdy nalewał kawę, kieliszek koniaku czy zupę, niczego nie rozlewał. A był niezwykle gościnny i do poczęstunku skory. Kuchnia była zaopatrzona w zapasy i wszystkie chyba narzędzia potrzebne zawołanemu kucharzowi-amatorowi, jakim był dawny komendant P.O.W. Dumny był ze swego kunsztu. Co więcej, uważał się za autorytet w sprawach kulinarnych. Jeśli moja żona czy córka zapytały go o jakąś potrawę, rozpoczynał wykład tonem znawcy od którego recepty nie ma odwołania. Znawca kuchni, sam jadał raczej jak ptaszek.

Koc — jak go pamiętałem — był zawsze szczupły i robił wrażenie fizycznego cherlaka. Teraz jakby jeszcze bardziej wychudł i zmalał. Ale oczy, choć przesłonięte mgiełką ślepoty, spoglądały, jak dawniej, bystro spoza okularów. Papierosa także z rąk nie wypuszczał. Mówił tylko swą ładną polszczyzną jakby wolniej niż dawniej. W całym zachowaniu Koca nie było nic z dawnego dostojnika państwowego, niepogodzonego z faktem, że musiał zejść z piedestału i zniżyć się do poziomu maluczkich. Był prosty i skromny.

Z pierwszej rozmowy wyniosłem wrażenie, że się cieszy z sąsiedztwa ze swym podkomendnym i kolegą z ostatniego senatu, choć nie spotkaliśmy się w senacie ani razu, nawet w kuluarach. Wydało mi się zrazu, że pędząc w swym mieszkanku samotny, starokawalerski żywot, pewno tęskni po prostu do ludzi. Ale nie mógł się w Nowym Jorku czuć samotnie. Mieszkał tu przecież z górą ćwierć wieku. To prawda, że wielu bliskich mu ludzi odeszło, ale sporo zostało ze starej legionowo-peowiackiej wiary. Koc był współtwórcą Instytutu im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, przez czas pewien jego dyrektorem, a z ludźmi kierującymi Instytutem: Wacławem Jędrzejewiczem, Janem Frylingiem, Edwardem Kleszczyńskim, Janem Kowalskim i prezesem Instytutu Henrykiem Korab-Janiewiczem, nigdy kontaktu nie tracił. Miał oddanych sobie ludzi w legioniście z 4 pułku, płk. Marchwickim, w L. Obierku, redaktorze *Nowego Swiata* i wierną przyjaciółkę, dyrektorkę jednej z bibliotek nowojorskich — Jadwigę Pułaską. Życzliwą pomocą służyli mu zawsze Jan Librach i Aleksander Korczyński.

Po kilku tygodniach zorientowałem się jednak, że najbliższym przyjacielem Koca jest adwokat Juliusz Kanarek. Lechoń nazwał go kiedyś „legionistą na urlopie", bo żył wciąż przeszłością legionową i poza nią niczego piękniejszego w życiu nie widział. Ten „czwartak", który jako czternastoletni chłopak uciekł

z gimnazjum do Legionów, miał do „szlachetnego" wyjątkowy stosunek. Koc był dla niego wcieleniem wszystkich cnót prawdziwego żołnierza Józefa Piłsudskiego. Lokował się skromnie u stóp fotela, na którym zasiadał „szlachetny". Wiedział, że to wcielenie popełniało w swej karierze politycznej błędy, lecz któż ich nie popełnia! Nic one dla Kanarka nie znaczyły wobec dokonań Koca w czasach strzeleckich, legionowych, peowiackich i późniejszych, gdy zerwał z OZONEM. Tylko jednego z żyjących piłsudczyków Kanarek umiejscawiał wyżej od Koca — Kazimierza Sosnkowskiego. Wyżej, bo od czasów legionowych w innych wymiarach spoglądał na „szefa". Komendant Piłsudski i szef I Brygady to były dla żołnierza legionowego i peowiackiego szczyty szczytów. Natomiast Koc był osiągalny i dotykalny, a w Nowym Jorku — na codzień. Kanarek, który przy Kocu wyglądał jak atleta, opiekował się nim troskliwie. Był na każde jego zawołanie. Jeśli nie zajrzał do Koca lub też Koc nie odwiedził go w jego kancelarii adwokackiej niedaleko naszej ulicy, odbywali jedną jeśli nie kilka rozmów telefonicznych. Mając takiego przyjaciela Koc nie mógł się czuć samotnie.

Przyjęcie jakie mi zgotował było więc raczej wyrazem nadziei, że spotyka we mnie człowieka, którego zna lepiej niż osobiście ze słyszenia, z artykułów i książek i że w nowym sąsiedzie znajdzie kompana do rozmów, jakiego nie miał w przyjacielu Kanarku. Koca pociągały kontrowersyjne tematy wspólnie nam drogiej przeszłości. Gadaliśmy o nich najczęściej. Analizowaliśmy także sprawy krajowe i polonijne.

Zbliżyliśmy się szybko. Ponadto w naszym mieszkanku „na Giewoncie" — jak zwykł mawiać — znalazł kawałek życzliwej mu rodziny. Każdego wieczora, gdy mu przyszła ochota, wdrapywał się na Giewont, choć mu to nigdy łatwo nie przychodziło. Dzielił się wtedy wspomnieniami ze swego bujnego życia, poczynając od czasów szkolnych, które spędził w Suwałkach pod kierunkiem ojca, nauczyciela greki i łaciny, absolwenta słynnej Szkoły Głównej, wielkiego patrioty. Opowiadał o swych kłopotach i przejmował się naszymi. Brał słowem udział w radościach i smutkach naszego trójosobowego zespołu rodzinnego. Nie minęło pół roku od chwili odnowienia naszej znajomości gdy zaproponował byśmy przeszli na — ty. Zaczęła się nawiązywać przyjaźń.

W czerwcu zeszłego roku, po krótkiej chorobie, zmarł Juliusz Kanarek. Był to cios dla Adama. Zabrakło nagle oddanego przyjaciela. Odtąd coraz częściej na pytanie jak się czuje odpowiadał, że już pewno długo nie pociągnie. Siły go opuszczały. Z trudem taszczył worek z zakupami żywności, a gdy raz wiatr powalił go na rogu naszej ulicy, unikał wychodzenia z domu gdy pogoda

była niepewna. Z coraz większym wysiłkiem wdrapywał się na Giewont.

Po śmierci Kanarka starałem się, jak mogłem, wypełnić Adamowi brak przyjaciela. Spotykaliśmy się prawie codzień. A on, jakby w przeczuciu zbliżającego się końca, otwierał się w rozmowach jeszcze bardziej.

◆

Adam Koc od wielu lat pracował nad swymi pamiętnikami. Dokończeniem ich był najbardziej przejęty i najbardziej zafrasowany. Pisanie nie przychodziło mu zresztą łatwo. „Pisanie — mawiał — jest zawsze dla mnie męką". W dodatku to co napisał, poprawiał bez końca. Ponadto fragmenty swych pamiętników zwykł po wielekroć czytać swym bliskim znajomym. Po tych czytankach poprawki rosły i rosły. Gdy ulegając dawnym nawykom zanurzył się po same uszy w jakiejś robocie społecznej, czynił sobie potem wyrzuty, że zamiast pisać stracił czas bezpłodnie. Mękę pisania potęgował słabnący z miesiąca na miesiąc wzrok. A że nie mógł sobie pozwolić na pomoc, sam stukał na maszynie, starając się, by wszystko było napisane czyściutko, schludnie, bezbłędnie.

Nie od razu zorientowałem się w jego przyzwyczajeniach. Było to w pierwszych miesiącach naszych spotkań. Przeczytał fragment pamiętnika, po czym prosił o szczere uwagi. Powiedziałem, że czasem, jako pedant, niepotrzebnie się powtarza i że może byłoby dobrze niektóre powtórki usunąć. Plułem sobie później w brodę. Koc zaczął usuwać je nie tylko z przeczytanego fragmentu, lecz także z innych rozdziałów. Zajęło mu to wiele czasu i trudu. Mógłby go sobie oszczędzić, bo nic by się nie stało gdyby nie wprowadzał skreśleń. Pisał barwnie, jasno, żywo. Tu nawias. Koc zakochany we wszystkim co polskie, zdawałoby się klasyczny rusofob, zachwycał się językiem rosyjskim i znał go dobrze. Oczywiście, nie była to znajomość Hostowca. Nigdy nie zapomnę, gdy kiedyś Hostowiec chyba przez kwadrans „skwiernosłowił" po rosyjsku, cytując mi jakiś tekst bodaj z osiemnastego czy nawet siedemnastego wieku. Koc także lubił czasem „skwiernosłowit" i posługiwać się całymi zwrotami rosyjskimi. A gdy się na coś oburzył odgrażał się zawsze, że zrobi „skandał so swistom". Wielu różnych zwrotów i powiedzonek rosyjskich nauczyłem się od Koca.

Koc przeczytał mi wszystko co napisał i opowiedział co dopiero zamierza napisać. Całość pamiętnika zapowiadała się bogato. Znalazłyby się w nim rozdziały z których tylko niektóre zdą-

żył ogłosić. Więc: Czasy szkolne w Suwałkach; Wyjazd na studia polonistyczne do Krakowa; Związek Walki Czynnej i Związek Strzelecki; Kurs oficerski pod bezpośrednim kierownictwem Piłsudskiego i Sosnkowskiego; Wywiad na fortecę Grodno; Historia powstania Polskiej Organizacji Wojskowej; Wyjazd do I Brygady; Na stanowisku dowódcy dywizji ochotniczej w 1920 roku; Zdobycie Grodna; W „Głosie Prawdy" i w „Gazecie Polskiej"; Zamach majowy 1926 roku; We Lwowie na stanowisku szefa sztabu D.O.K.; Obóz Zjednoczenia Narodowego; Działalność finansowo-gospodarcza; Wywiezienie w czasie wojny złota polskiego z kraju; W gabinecie Sikorskiego i o Sikorskim; Refleksje emigranta politycznego.

Rozdział „Na pozycjach pod Sitowiczami", zawierający fragment wspomnień z walk I Brygady, napisał dawno. Na krótko przed atakiem paraliżu zgodził się, bym wysłał maszynopis „Sitowicz" Giedroyciowi. Powiedział mi wtedy, że gdy całość pamiętnika gotowa będzie do druku pragnąłby, abym poprzedził książkę moim wstępem. Byłem tą propozycją wzruszony. Czyż mogłem kiedyś przypuszczać, że jeden z czołowych pułkowników mnie właśnie — dawnemu zetowcowi i naprawiaczowi — zaproponuje napisanie wstępu do jego bezcennych zapisek historycznych? Koc ucieszył się gdy już w szpitalu dowiedział się ode mnie, że Giedroyc przesyła mu pozdrowienia i zapewnia, że w jednym z *Zeszytów Historycznych* ukaże się rozdział „Na pozycjach pod Sitowiczami".

Często wspominaliśmy dzieje powstania P.O.W. i warunków na jakich ułożyła się współpraca tej organizacji z inną organizacją wojskową, tzw. Wolną Szkołą, prowadzoną przez zetowców. W jednej z tych rozmów Koc zapytał, jakbym ujął różnicę między jego i moim stosunkiem do Piłsudskiego. „Twój stosunek — odpowiedziałem — jak stosunek Sławka, Prystora i wielu, wielu innych, najlepiej chyba oddają słowa: bezkrytyczna adoracja, jakby do jednego z Pańskich świętych. Ja też adorowałem i adoruję Komendanta, ale widziałem że popełnia błędy, co bynajmniej nie umniejsza jego wielkości i przełomowej roli, jaką odegrał w życiu narodu. Marzyłeś od dziecka, by walczyć o Polskę i wprost z ławy szkolnej trafiłeś w Krakowie pod komendę Piłsudskiego. W tym zakonie rycerzy Niepodległości znalazłeś wszystko o czym marzyłeś. Poprzysiągłeś sobie, że temu zakonowi i jego założycielowi pozostaniesz bezkrytycznie wierny i przysięgi dotrzymałeś". Koc zamyślił się, po czym powiedział: „Masz rację. Adorowałem i adoruję Komendanta bezkrytycznie. Żadnych jego błędów nie widzę i nie chcę widzieć. I taki zostanę do końca". W kilka dni po tej rozmowie odczytał mi zmienioną redakcję

ustępu o zetowcach i Wolnej Szkole, dodając: „Przeredagowałem ten ustęp. Jestem ci wdzięczny, żeś mi wiele wyjaśnił". Nie mogłem powstrzymać się od cierpkiej uwagi, że szkoda, iż do tych wyjaśnień nie doszło znacznie wcześniej, w Polsce.

Bodaj dwa lata temu ukazała się w Londynie, po angielsku, książka Blita o Bolesławie Piaseckim. Znalazł się w niej wywód, że Koc, po społu z Piaseckim, planował w Polsce noc św. Bartłomieja. Adam był oburzony. Gdyby nie choroba, wystąpiłby na drogę sądową przeciwko autorowi.

Jaką rolę odegrał w powstaniu i działalności Obozu Zjednoczenia Narodowego? Gdy zadałem mu kiedyś to pytanie, usłyszałem odpowiedź jakiej się nie spodziewałem. „Wiele osób, nie wyłączając Komendanta — mówił „szlachetny" — uważało mnie za polityka. W czasie pierwszej wojny powstała nawet śmieszna legenda o „Koc-gruppe". Nie był to żaden ośrodek polityczny lecz po prostu grupa zżytych przyjaciół. Nigdy politykiem nie byłem, chciałem być jedynie stróżem i realizatorem tego, co nazywaliśmy — ideologią Komendanta. Widział we mnie polityka także Śmigły-Rydz. Zawsze go ceniłem jako niezwykle prawego człowieka i doskonałego dowódcę. Nie potrafiłbym odmówić żadnej jego prośbie. Kiedy jednak zaproponował mi objęcie szefostwa Obozu Zjednoczenia Narodowego broniłem się, jak mogłem. Uległem, gdy mi powiedział, że nie widzi innego kandydata. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że zgoda na objęcie tego stanowiska rzuci na mnie cień, który wlec się będzie za mną przez całe życie. Zrobiłem błąd. Nie byłem autorem deklaracji programowej O.Z.N., którą tak krytykujesz. Dałem na nią swe nazwisko, ufając Bodkowi Miedzińskiemu, którego uważałem za jednego z najzdolniejszych i najbardziej doświadczonych polityków naszego obozu. On również, poszukując oparcia w społeczeństwie dla nowej formacji politycznej, nawiązał kontakty z O.N.R.-em i z innymi radykalnie prawicowymi organizacjami. Tak oto doszło do spotkania u mnie na wsi, w Małych Świdrach, z Bolesławem Piaseckim, do którego nigdy nie miałem zaufania. Zaledwie kilka miesięcy byłem szefem OZONU, ale do dziś obciążają mnie odpowiedzialnością za całą działalność tej organizacji. Zgłaszając Śmigłemu, we wrześniu 1937 roku dymisję, nie wskazałem żadnego następcy. Śmigły zrozumiał, że tym razem moja decyzja jest nieodwołalna. Obraził się. Wyjechałem na kurację do Montecatini. Po powrocie przeszedłem do Banku Handlowego i z jego ramienia pojechałem do Londynu. Z pobytu w Londynie złożyłem Śmigłemu sprawozdanie. Dowodziłem, że grozi nam wojna z Niemcami, do której nie jesteśmy przygotowani. Anglicy gotowi są dać kredyty na dozbrojenie. 15 czerwca 1939 r. wyjechałem ponownie do

Londynu, jako już przewodniczący delegacji rządowej do rokowań o kredyty. Rokowania londyńskie trwały 6 tygodni. Rozbiły się o żądanie wicepremiera Kwiatkowskiego. Domagał się kredytów w efektywnym złocie. Rokowania nie zostały zerwane, lecz odroczone do jesieni. Kwiatkowski zwalał później na mnie odpowiedzialność za nieuzyskanie kredytów. Widząc co się święci, zamówiłem sobie mundur, płaszcz i szykowałem się do wyruszenia na front. Wiedziałem wprawdzie co się w OZONIE dzieje, ale w jego pracach żadnego udziału nie brałem".

Koc nie zgadzał się z polityką finansową Kwiatkowskiego i Prezydenta Mościckiego popierającego bez zastrzeżeń wicepremiera. Często wracał do tego tematu. Raz zadałem mu pytanie, jak on, niedoszły polonista, odkrył w sobie zamiłowania do spraw finansowych i gospodarczych. Usłyszałem odpowiedź, że zawsze pasjonowały go zagadnienia ekonomiczne, a przeszedłszy do życia gospodarczego bardzo pracował, by pogłębić ich znajomość.

Często, bardzo często mówiliśmy o bliskich Kocowi, żyjących legionistach i peowiakach. Charakteryzował ich bardzo szczerze. Wielkim sentymentem darzył Miedzińskiego, choć nie raz — jak mówił — miał z nim kłopoty. Nawet wtedy, gdy Miedziński został Marszałkiem Senatu.

Wiedząc, że jestem w stałym kontakcie z generałem Sosnkowskim zaczął pewnego dnia biadać, że w jakimś artykule dopuścił się nieścisłości za którą „szef" ma słuszny żal do niego. Napisał, że twórcą Związku Walki Czynnej był Józef Piłsudski, podczas — jak to sam Komendant stwierdził — inicjatorem Związku Walki Czynnej, z którego z czasem wyłonił się Związek Strzelecki, a później I Brygada, był Kazimierz Sosnkowski. Na obiedzie u wspólnych znajomych w Nowym Jorku generał przygadał za to porządnie Kocowi. Koc marzył odtąd, by stanąć osobiście przed „szefem", wytłumaczyć się i prosić o rozgrzeszenie.

Wiosną 1968 roku marzenie się ziściło. Koc, Kanarek, ówczesny prezes Instytutu Piłsudskiego Janiewicz i ja wpadliśmy na kilka godzin do Arundelu. Generałostwo podejmowali nas bardzo serdecznie. Generał śmiejąc się znowu przygadał Kocowi i — dał rozgrzeszenie. Adam był wniebowzięty. Wciąż powtarzał, że kamień spadł mu z serca. A że niemniej zachwycony był Kanarek, więc lecieliśmy z Montrealu do Nowego Jorku w doskonałych humorach. Koc opowiedział nam w samolocie takie zdarzenie.

Będąc w „Strzelcu" dostał pewnego dnia rozkaz stawienia się w mieszkaniu doktora Bobrowskiego. Otrzymał tam od Komendanta zadanie wyjazdu z Krakowa, celem zrobienia wywiadu na fortecę Grodno. Komendant zapowiedział Kocowi że w czasie wykonywania zadania odwiedzą go dwaj inspektorzy wysłani przez

Komendę Główną. Jednym z inspektorów będzie — Aleksander Prystor. Koc miał wtedy lat osiemnaście. Zamienił się w słuch, by nic nie uronić ze słów Komendanta, ale ogarnął go strach czy zadanie wykona. Sosnkowski asystował przy odprawie, ale głosu nie zabierał. Musiał jednak zauważyć co Koc przeżywa. Po odprawie odprowadził go do drzwi. Najpierw zlustrował ulicę, czy nie włóczy się jakiś szpicel, po czym poklepał Koca po ramieniu i uśmiechał się jakby chciał go podtrzymać na duchu. „Ten uśmiech szefa — kończył Koc swą opowieść — towarzyszył mi przez całe życie".

Nieraz mówiliśmy o zamachu majowym. „W parę miesięcy po zamachu — opowiadał Koc — szef przyjechał z Poznania do Warszawy. Wychudł po operacji i pobycie w szpitalu. U mnie, w mieszkaniu na Hożej, odbyła się rozmowa z szefem. Było kilka osób, między innymi, Miedziński i Stpiczyński. Sosnkowski wyrzucał nam, że nie zawiadomiliśmy go o planie i dacie zamachu. Tłumaczyłem, że i ja nic a nic o zamachu nie wiedziałem. Dowiedziałem się w przeddzień od Wieniawy, którego przypadkowo spotkałem w „Ziemiańskiej" na Mazowieckiej. Świtało gdyśmy zdecydowali, że trzeba pojechać na raki do Wilanowa. Byłem tak zmęczony przekonywaniem szefa, że chwilami kompletnie kręciło mi się w głowie. Innym również. Ale szef przetrzymał wszystkich i... nie dał się przekonać".

Lubiłem zwłaszcza słuchać opowiadań Adama o Piłsudskim. Tyle razy go widywał i tyle razy z nim rozmawiał w różnych okolicznościach na przestrzeni kilku dziesiątków lat! Z tych opowiadań mogłaby powstać książka bezcennych dla historyka wspomnień. Lecz rzecz dla Koca znamienna. Chętnie mówił o Piłsudskim, natomiast w pisaniu był oszczędny. Może podświadomie, obawiał się, by nieopatrznym słowem pisanym nie umniejszyć jego wielkości lub by w obrazie przekazywanym następnym pokoleniom, nie wprowadzić, mimo woli, żadnych niewłaściwych akcentów.

Kiedyś, w ramach odczytów organizowanych przez nowojorski Instytut im. Józefa Piłsudskiego, podzieliłem się mymi skromnymi wspomnieniami o Piłsudskim. Wracaliśmy po odczycie razem do domu. Koc był wstrząśnięty moją relacją z ostatniej rozmowy w Belwederze, w której opisywałem tragicznie zmieniony wygląd Komendanta. Gdyśmy znaleźli się u mnie Koc dopytywał się o szczegóły. Zapytałem go, czy nigdy w życiu nie widział Komendanta załamanego czy nie do poznania zmienionego.

„Załamanego — odpowiedział — nie widziałem nigdy. Zmienionego — trzy razy. Po raz pierwszy w lipcu 1920 roku. Miedziński, Stachiewicz, Kościałkowski i ja zameldowaliśmy się u

Komendanta, by mu zgłosić gotowość pozostania na tyłach wojsk bolszewickich dla organizowania dywersji. Komendant robił wrażenie nieludzko zmęczonego. Wysłuchał nas, po czym rzekł, że to już nie będzie potrzebne i naszkicował plan kontrofensywy, który w sierpniu zrealizował. Drugi raz widziałem Komendanta zmienionego nie do poznania nazajutrz po zabójstwie Prezydenta Narutowicza. Przyszedłem, by oświadczyć Komendantowi, że gotów jestem zająć się likwidacją podżegaczy odpowiedzialnych za śmierć Prezydenta. Wymieniłem cztery nazwiska. Piłsudski machnął niecierpliwie ręką i wzburzonym głosem rzucił: „A dlaczegoż się to już nie stało?". Po raz trzeci — w czasie zamachu majowego, gdy zameldowałem się w Komendzie Miasta. Marszałek wyglądał na przybitego, wymęczonego, może nawet — na załamanego...".

Niezliczoną ilość godzin spędziliśmy ze „Szlachetnym" na takich rozmowach.

◆

11 listopada ubiegłego roku, w pięćdziesiątą rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, zaprosiliśmy Koca. Myślałem, że będzie mu przyjemnie spędzić ten wieczór i pogawędzić o chwilach przełomowych dla narodu, w których sam odegrał tak niezwykłą rolę. Adam przyrzekł przyjść o 8-ej i przynieść ze swych zapasów tekturowy, lekki karton w który chcieliśmy coś zapakować.

Zjawiał się zawsze z uderzeniem zegara, więc gdy przez kilkanaście minut nie nadchodził chciałem do niego zatelefonować. Nagle usłyszeliśmy na klatce schodowej łoskot spadającego przedmiotu. Wybiegłem i zobaczyłem Koca schodzącego z trzeciego piętra na dół, by podnieść dwa kartony, które mu z rąk wypadły i z hukiem potoczyły się po schodach. Powstrzymałem go od tej wędrówki, czyniąc mu wyrzuty, że obciąża się niesieniem aż dwóch kartonów gdy prosiłem tylko o jeden.

Zasiadł w fotelu na swym zwykłym miejscu i długo, ciężko oddychał. „Dziś, szlachetny — powiedział — czuję się jak pogryziony i wypluty. Nie wiem co mi jest. Tracę władzę w jednym ręku". O żadnych wspominkach nie było, oczywiście, mowy. Rozmowa się w ogóle nie kleiła. Mówiliśmy wyłącznie o jego zdrowiu, o tym, że nazajutrz musi pójść do lekarza, że powinien jak najprędzej wyjechać z Nowego Jorku na kilka tygodni do jakiegoś pensjonatu na wieś i porządnie odpocząć. Widząc, że zmęczenie go nie opuszcza, po godzinie, zaproponowałem, by poszedł do siebie i położył się do łóżka.